

TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 29

Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½

Warszawa, $\frac{2}{14}$ kwietnia 1860.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartal. rs. 3. Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM I.

TREŚĆ NUMERU.

Ignacy Chodźko (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Zwyczaj wielkanoce nad Wartą. — Kościół latyczowski (z drzeworytem). — Pałacyk po Fitelech w Bronowicach (z drzeworytem). — Wróżka (z drzeworytem). — Kronika sztuk pięknych. — Przegląd piśmienniczy. — Korrespondencja Tygodnika Ilustrowanego. — Historia jedynaczki w 22 obrazkach, dalszy ciąg (z czterema drzeworytami). — Szachy i rebus.

Ignacy Chodźko.

Starożytna rodzina litewska Borejkw Chodźków liczy dziś wielu zaszczytnie pracujących na niwie piśmiennictwa ojczystego; najbardziej jednak znanym i najpopularniejszym między nimi stał się niezaprzeczenie autor *Obrazów i podań litewskich*.

Ignacy Chodźko urodził się d. 29 września 1795 r. w dworku swojego dziadka po matce, który później tak poetycznie opisał w jednym z pierwszych swych obrazów. Ze szkół u ks. bazylianów w Borunach, przeszedł w r. 1811 na uniwersytet wileński, i tam w roku następnym był świadkiem wejścia wielkiej armii Napoleona I, co znów w przyszłości podało mu treść do pięknego wspomnienia w *Pamiętnikach kwe-starza*.

Po ukończeniu w r. 1814 kursów uniwersyteckich, wrócił do domu ze stopniem magistra filozofii i ze skłonnością do piśmiennictwa nadobnego, rozwiniętą szczególnie przez wykład literatury Euzebiusza Słowackiego, który, lubo nie umiał uczniom swoim dać głębszego pojęcia o literaturze powszechnej, ale natchnąć im zamiłowanie własnej, chciał i był zdolny.

Wkrótce Ignacy utracił oboje rodziców, i zaledwie z dzieciństwa wychodząc, stał się panem miernego, lecz wystarczającego na skromne utrzymanie majątku. / Zaczyna stryj jego, Jan Chodźko (Jan ze Swisłoczy), przyciągnął wtedy do siebie z ojcowską miłością wcześniej osierconego synowca, a wprowadzając go w towarzystwo literackie i obywatelskie, poważniejszy przez to jego życiu nadał kierunek. / Gdy zaś Ignacy z wycieczek takich powracał do domu, zastawał tam, jakby spuściznę po dziadku i ojcu, starego ich przyjaciela, Michała Ławrynowicza, dworaka niegdyś Radziwiłłowskiego i innych magnatów litewskich, który podczas samotnych zimowych wieczorów lub długich przechadzek letnich zabawiał młodego chłopca żywym rozpowiadaniem dziejów swoich i wypadków krajowych, jakich bywał świadkiem a nieraz i uczestnikiem, oddając tym sposobem niejako w *fideikomis* młodziej głowie, młodszemu sercu zapas swych pamiętek. / Obaj zapewne nie myśleli wtedy o tém, że Ignacy ten fideikomis powróci kiedyś ziomkom, i że ci z tak żywym przyjmą go współczuciem.

Z tych to opowiadań i rozpamiętywań niedawnej

jeszcze natenczas przeszłości, złączonych z przekazaną po dziadzie i ojcu staroświecczyną własnego domu i pobożnością obyczajów, utworzył się w młodej i wrażliwej duszy Ignacego jakiś zmysł *retrospektywny* (nie mamy na to własnego wyrazu), jakiś osobny, a jasny jak obecność, oddział życia, do którego on wchodził z zamiłowaniem. Jest to w podobieństwie jego stary, pradziadowski lamus, ozdobiony wewnątrz wizerunkami przodków, w którym autor układał i pisał swe obrazy, a który, wraz z całym mieszkaniem Chodźki, odwzorował nam Adam Pług w swych podróżach

Była to epoka, w której nasza literatura nadobna, krusząc ciasne formy klasycznej rutyny, zaczynała iść szlakiem powszechnego europejskiego popędu. Ignacy Chodźko stanął po stronie zastępu przedstawiającego dawną zfrancuziałą szkołę, i bronił jej prozą i wierszem, jak żołnierz broni chorągwi, pod którą służył chwalebnie. Ale zastęp ten zmniejszał się codzień, już to zbiegostwem w szeregi przeciwników, już ustąpieniem niektórych z pola walki: gdy przeciwnie kohorta romantyków coraz nowymi wzmocniała się posiłkami, a wódz jej, Mickiewicz, olbrzymiał.

Mało starszy wiekiem od tego młodego pokolenia, i mimo sprzeczności w literackich poglądach, mimo żwawych codziennych utareczek, uznający w niem i szanujący nie tylko osobiste szlachetne poczucia, ale i przyszłą nadzieję piśmiennictwa ojczystego, — Chodźko ściślej się z niektórymi, jak: Odyniec, Julian Korsak, Tomasz Zan, Klimaszewski i inni. Pamiętkę tych stosunków i tej walki klasyczno-romantycznej przechował nam autor w swém dziełku: *Dwie konwersacje z przeszłości*.

Osiadłszy zupełnie na wsi, Chodźko ożenił się w 30 roku życia, i Bóg obdarzył go córką. Spokojny i szczęśliwy, zaczął on wtedy wchodzić z myślą swobodną w życie wewnętrzne, w krainę przeszłości, i z uczuciem serdecznym wziął się do kopiowania i układania nagromadzonych tam obrazów, które jedne po drugich ziomkom przedstawiał.

Nie naszym jest zadaniem ogłaszać sąd krytyczny o pracach ulubionego autora: są to obrazy i obrazki rodzajowe, zdjęte z natury z fotograficzną wiernością, a przytém tak pełne niewysłowionej prostoty, tak rzewne, wdzięczne i miłe, tak sympatyczne i ciepłe kolorytem, że dotykać ich zimną recenzenta dłonią, nie możemy ani chcemy. Ogół też przyjął je i ocenił, jak na to zasługują. Nie myślimy podobnie ze ścisłością bibliograficzną wypisywać wszystkich jego luźnych artykułów, po różnych piśmiech czasowych rozproszonych; wymieniamy tylko osobno wydane dzieła, o ile sami je znamy i zachowaliśmy w pamięci.

Obrazy litewskie. Serya I. Domek mojego dziadka, r. 1847. — Serya II. Brzegi Willii, 3 tomy w jednym, r. 1851. — Serya III. Pamiętniki kwe-starza, 3 tomy w jednym, r. 1851. — Serya IV. Jubileusz. Duch opiekuńczy. Autor swatem. Panna respektowa, 2 tomy w jednym, r. 1851. — Serya V i ostatnia, Dworki na Antokolu, 2 tomy w jednym, r. 1854.

Podania litewskie. Serya I, z portretem autora, r. 1852. — Serya II. Żegota z Milanowa Milanowski, 1854. — Serya III. Pustelnik w Proniunach, r. 1858.



IGNACY CHODŹKO.

Rysował Tegazo, rytował H. Röber w drzeworytni Tygodnika.

po Litwie.

Posłany przez stryja do Warszawy, Ignacy miał sposobność przedstawienia się ministrowi Stanisławowi Potockiemu, poznał Osińskiego, Bogusławskiego i wielu innych tamecznych literatów. Tymczasem w Wilnie, dokąd Jan Chodźko przeniósł się na mieszkanie, wzrastała i zapełniała ławki akademickie młodzież z gorącym zamiłowaniem nauki, z głębszym jej pojęciem, z nadzwyczajnymi nieraz zdolnościami.

Dwie konwersacje z przeszłości, r. 1857. Wszystko to wydane w Wilnie, nakładem J. Zawadzkiego.

Przed trzema laty Chodźko bolesnym dotknięty został ciosem: jedyne jego dziecko, zameżna córka, skończyła śmiercią zawczesną. Kraj cały ze współczuciem przyjął smutną tę wiadomość i okazał ją ojcu strapieniemu zarówno w głosie dziennikarstwa, jak w licznych odezwach prywatnych. Ale nieszczęście pogłębiło podeszłego wiekiem autora, zerwało się ogniwo łączące go ze światem i pióro jego zamilkło, bo nowe i trudniejsze obowiązki obarczyły teraz sędziwą jego głowę: zostało mu pięcioro wnucząt...

Po śmierci córki Chodźko nie dotąd nie napisał, prócz głosów boleści i modlitwy drukowanych w gazetach warszawskich, oraz kilku obrazków w *Kuryerze wileńskim*; *Konwersacje* bowiem już przedtem przygotowane były do druku. Mamy jednak nadzieję, i publicznie ją tu objawiamy, że milczenie to będzie tylko chwilowe, bo autorstwo także jest służbą dla kraju. a talent, jak szlachectwo, *obowiązuje* (noblesse oblige).

W krótkim tym rysie literackiego zawodu Chodźki, pominieliśmy wiele szczegółów, jak np. że jest członkiem Towarzystwa naukowego krakowskiego i Kommissji archeologicznej wileńskiej i t. p. Nie dotknęliśmy również jego życia obywatelskiego; pobieźnie tylko w końcu nadmieniamy, że był przez lat dwadzieścia kuratorem szkół powiatu święciańskiego, a niedawno zasiadał w komitecie włościańskim gubernii wileńskiej, jako członek jednomyślnie z tegoż powiatu obrany.

L. J.

Kronika tygodniowa.

Na tegoroczne wielkanocne święta upieczono w samej Warszawie bab 684,756, nie licząc placków i innych rozmaitych dodatków.

I wszystko to zjedzono.

Kto nie wierzy niech sprawdzi.

Ale niestety, bardzo już mało gdzie odbywało się święcone na ową staropolską formę, której rysunkiem i opisem przysłużyło się wam pismo nasze w przeszłym tygodniu.

Już nawet w niektórych miejscach w niepamięć poszedł zwyczaj zastawiania stołów przez czas trwania świąt.

Niedosyć że baby, placki, mazurki i t. d. piecze cukiernik, że wszystkie inne przybory przysposobione już i gotowe kupują się w sklepach, ale cały ten zapas idzie zaraz do spiżarnianej szafy, i tylko po odrobince, za pokazaniem się jakiego gościa, dobywa się na stół. Dawniej każda gospodyni rada była w święconem u siebie okazać zamożność domową i staranność gospodarską, dzisiaj dla wielu wydaje się to niepotrzebnym kłopotem, a odwiedziny świąteczne na zwyczajną zakrawają wizytę.

W Warszawie, jak zawsze, przez ten cały tydzień nieważą miejsce większe zebrania o różnych porach dnia, ale w domach które modę zagraniczną przyjęły, a takich jest niemało, są to tylko śniadania, obiady i wieczory prozane. Mężczyźni zbierają się tam w białych krawatach i rękawiczkach, damy ubrane balowo, a potrawy gotuje kucharz Francuz, który ani zasłyszal nawet o naszych staropolskich przysmakach. Zresztą i nie na wiele przydaćby się one mogły teraźniejszemu pokoleniu, któremu trufle, ostrygi i różne zamorskie przysmaki zupełnie inny aniżeli u ojców naszych wyrobiły żołądek. Owe tradycyjne jajka na twardo, szynki, kielbasy i różne mięsiwa na zimno, zupełnie nie higienicznie nam się teraz wydają. A nie szkodziły one przodkom naszym, chociaż oni przez cały przeciąg wielkiego postu, oprócz starców i chorych, wstrzymywali się sumiennie od mięsiwa. Przodkowie nasi przywykli obchodzić każde święta w gronie rodziny i przyjaciół, stoły wówczas zastawiano suto, a im uroczystsze było święto, tém traktament sowitszy. Pamiętka Zmartwychstania Pańskiego zawsze u nas najuroczystsiej obchodzono bywała. A więc roztwierano wrota, stoły zastawiano jadłem i napojem, a gospodarstwo radzi byli każdemu, kto był na nich łaskaw. Nie potrzeba było prosić, każdy czuł się w obowiązku złożyć tę oznakę uszanowania starszym od siebie wiekiem, urzędem, znaczeniem. Bardzo dziwnymi wówczas wydawałyby się zaprosiny na święta wielkanocne; ubliżałyby one niejako staropolskiej gościn-

ności, dowodząc już jakiejś wyłączności, która nie istniała i nie mogła istnieć. Owe 365 bab księcia Sapiehy, o których K. Wł. W. wspominał, nie skonsurowałyby się tak prędko, gdyby miały tylko na zaproszonych gości czekać. Ale całe sąsiedztwo, cała szlachta okoliczna wiedziała że u księcia było wielkie święcone, i cała szlachta hurmem zbierała się na nie, nie oglądając się wcale na bilety zapraszające. Niektórzy dziedzice całym gromadom wiejskim rozdawali jadło.

Jednakowoż i obecnie w niektórych miejscach daje się widzieć powtórzenie tych dawnych zwyczajów. Członkowie Towarzystwa dobroczynności naprzykład, rozdają corocznie święcone ubogim tamecznym, a nagromadza się ono z darów dobroczynnych osób, które pamiętają na to, że Chrystus najwięcej biednych umiłował. I w bieżącym roku, jak zawsze, odbył się ten piękny obrządek. Około 500 starców i sierot odbierało te dary świąteczne z rąk dostojnych opiekunek towarzystwa.

Tym razem rozdanie święconego połączyło się jeszcze z inną uroczystością. Towarzystwo Dobroczynności, pragnąc uczcić zasługi członka swego pana Popławskiego i odwdziżyć mu kilkanastoletnie prace i starania około dobra biednych, zaszczyściło go nazwą *ojca sierot*, przy wręczeniu portretu za pośrednictwem dam i opiekunek. Taka nazwa jest jednem z najpiękniejszych odznaczeń, jest to znak honorowy, który pierwsze zająć powinien miejsce w stanie służby dla dobra ludzkości poświęconej. — I zaprawdę, czuła a troskliwa opieka, którą szanowny ten mąż przez tyle lat otaczał sieroty staraniom jego powierzone, ojcowskimi tylko mierzyć można uczuciami. Takie zasługi świat ocenia..... czasem, Bóg nagradza zawsze.

Pożądaną jest także wiadomość, że na święconem które miało miejsce u hr. Andrzeja Zamojskiego, staraniem redaktora *Kuryera* zebrana została summa 450 rs., z których 300 rs. oznacza się jako nagroda za najlepszą komedię na nowy konkurs napisać się mającą, 150 zaś rs. na accessit. Kwota powstała ze sprzedaży dzieł premiiowanych, przeznaczoną zostanie jako zawiązek nowego konkursu, i tym sposobem projekt dawno już wniesiony przez nas zyska uiszczenie.

W ogóle święta mieliśmy pogodne. Dészcz wprawdzie w drugie święto sprawił niepomierny szmigus wszystkim tak powozowym jak i pieszym znajdującym się na placu ujazdowskim, albo objeżdżającym tenże plac w drugie święto po południu, ale są to zwykłe świąteczne niespodzianki, ten dar niebios bowiem, użyzniając pola i ogrody, stara się żeby i modniarki nie zbankrutowały.

Towarzystwo warszawskie już w bieżącym tygodniu zaczyna się rozjeżdżać na wieś. Zwykle Wielkanoc jest mniej więcej ostatnim terminem tak zwaney pory warszawskiej. Wszystkie powielkanocne przyjęcia są już ostatnim kresem zabaw salonowych. Obecnie przechadzka wykluży tak tańce jak i rauty, a ogrody zastąpią salony. Tylko koncerta pozostaną, jak się zdaje w całej sile swojej. Wielka uroczystość muzyczna na dochód Instytutu, zapowiedziana w przeszłym tygodniu, a odłożona z powodu konieczności zrobienia jeszcze prób kilku, odbędzie się w przyszłą środę. Jak słyszeliśmy z pewnych źródeł, na ten Instytut muzyczny nagromadzony fundusz wynosi przeszło 50,000 rsr. Piękna to sumka, a wszystkie stany społeczeństwa naszego złożyły się na nią. Najubożsi dołożyli swój grosz, nawet wszystkie cechy warszawskie dały albo dają swoją składkę, nawet w niektórych miejscach włościanie wedle możności złożyli swoją ofiarę.

Dawno zapowiedziana i oczekiwana tragedia Ant. Małeckiego *List żelazny* zjawiła się nareszcie w ubiegłym tygodniu na scenie naszej. Sam już ten wyraz *tragedya*, tak rzadko napotykal się obecnie na afiszach europejskich, jest zapowiednią ścisłej i poważnej pracy, która żadną miarą nie może dać się ująć w ramki pobieźnego przeglądu. Nie możemy jednak przemilczyć tak ważnego wypadku, i choć w kilku słowach skreśliłyśmy zdanie nasze o tém dziele.

Przedmiot jaki pan Małeczki obrał sobie, należy do najtrudniejszych zadań tragicznych. Potrąca on śmiało o najczulsze struny serca ludzkiego. Syn, zagrożony zarzutem nieprawego przywłaszczenia sobie klejnotu szlachectwa, poświęca własną matkę, która mu stoi na zawadzie do planów własnego wyniesienia się i do spełnienia najdroższych życzeń serca,

przez związek z ukochaną osobą. Najsilniejsze tu uczucia i namiętności serca ludzkiego wyprowadzone na świat, walka więc straszliwa, ale tém niebezpieczniejsze oddanie téj walki, żeby zamiast miłości kraju i poświęcenia wyższej sprawie, czysty tylko egoizm nie uderzył w oczy, żeby zamiast potężnego myśliciela, pchniętego w przepaść żelazną ręką wypadków, nie stanął przed nami zwyczajny tylko zbrodniarz, w którego sercu nie odezwało się by najmniejsze echo miłości dziecka do matki. Eumenidy, które popychają ręką tego nowożytnego Orestesa, zbyt silnie nim zawładły; nie ojca on tu mści, ale siebie ochrania, nie wyrodna żona, nie zabójczyni męża stoi przed nim, ale słaba kobieta, która wcieliła się tylko w jedną myśl miłości matki dla dziecka, która dla téj myśli wszystko poświęciła i poświęca.

Wlać w tę wyniosłą ale oschłą duszę jedną kropelkę uczuć synowskich, włożyć w usta tego dumnego człowieka, ciągle zasłaniającego się względami politycznymi, jeden wyraz z pod serca wybiegający, wraz z łzą na widok własnej matki wlokącej się przed nim na kolanach, stokrotnie może utrudniałoby zadanie, ale podniosłoby je, ale stawiloby tę tragedya wrędzie dzieł wiekowych, które wyjątkowe położenia ludzkości za prawdę uznaną każą przyjmować. W samym pomysle obrobienia i prowadzenia tragedyi, wielkie są zalety znamionujące zdolnego a sumiennego pracownika, który nie waha się sięgać do wyżyn sztuki, bo czuje swoją siłę. Oddanie było dobre, w obecnym stanie sceny naszej nie mogło być lepsze. Pan Rychter charakteru zmienić nie mógł, więc go oddał sumiennie i z siłą wielką. Panna Palińska w scenie w więzieniu potrafiła wydobyć z siebie serdeczny odgłos miłości macierzyńskiej; wszystkie pomniejsze role starannie oddane. We Francji lub w Niemczech taka sztuka, pomimo wad swoich, na liczne przedstawienia liczyłyby mogła, u nas niestety, za drugiem przedstawieniem trzecia część miejsc była pustych. Dyrekcyja jednak nie powinna się tém smucić, *List żelazny* powinien zostać w repertoarze, bo wstydemby było dla naszej publiczności, żeby takiego dzieła nie umiała choć z czasem ocenić.

Niestety, w literaturze taka cisza, że trudno nawet o jakiejś nowości na tém polu donieść. Wszystko mniej więcej zamknęło się w kółku dziennikarskiem, a skutkiem tego wydawnictwo książek bardzo leniwym idzie krokiem. W Warszawie pomnożyła się w tych czasach liczba księgarń, nie dowód to jednak żeby handel księgarski lepiej stał jak dotychczas. Licząc na stopę giełdową, tak jak to we wszystkiem prawie obecnie ma miejsce, najwięcej jeszcze zysku przynoszą akcyje poezyi. Są one poszukiwane i jest wielu żądających. Powieść stoi *al pari*, a nawet trochę niżej od zwykłego kursu; jest wprawdzie kilka zamożniejszych powieściowych domów, które *forsują* kurs i sprawiają chwilowe, sztuczne podniesienie się papierów, ale niedługo to trwa i akcyje spadają znowu. Co do naukowych obligów, te stoją nader nisko, strata na nich najczęściej pół na pół, a i tak nikt ich prawie zakupywać nie chce. A niema nawet nadziei żeby się one tak prędko podniosły. Mało są *protegowane*, a jak wiadomo *protekcya* na giełdzie bardzo wiele znaczy, bez niej papiery spadają, chociażby najlepsze, najpewniejsze miały za sobą *gwarancje*. W ogóle najwięcej literackim kursom szkodzą spekulanci, którzy wpychają każdemu swoje akcyje, czy chce, czy nie chce, i zdołają wprawdzie tym sztucznym sposobem rozpuścić ich pewną ilość na czasie, ale w końcu musi koniecznie nastąpić gwałtowne zniżenie tychże samych papierów, co nietylko paraliżuje doraźne korzyści, ale może nawet stać się powodem zachwiania kredytu owoych domów handlowych.

Giełda artystyczna jeszcze gorzej stoi od literackiej; tam panuje jakby ciągła obawa wojny, nikt nie kupować nie chce, nieufność powszechna. Jeżeli ten stan rzeczy potrwa, to grozi blizkie bankructwo. Nawet kredyt ruchomy wystawy zaledwie się trzyma. Podobno nawet, jak słyszeliśmy, chce on nową zaciągnąć pożyczkę, dotąd jednak jeszcze obligów nie wypuścił.

Miejskie nowiny tak się wszystkie zaabsorbowały w ruchu świątecznym, że wam o żadnej donieść nie możemy. Denuncjujemy tu jednak bilet wizytowy, który na własne oczy przyszło nam oglądać. Jakiś pan, widać lubiący tytuły, nie mogąc ich dobrać dla siebie stosownych, kazał wypisać pod swoim nazwiskiem: „członek resursy staréj i nowéj“ co, jak widzi-

cie nie małą jest zasługą i zaszczytem członek obu resurs, gwałtu!!! co tu godności, ale zarazem ileż obowiązków! Czyż społeczeństwo nasze wywiąże się kiedy dostatecznie z długu względem tego pana, członka obu resurs, zaciągniętego?

ZWYCZAJE WIELKANOCNE NAD WARTĄ.

Lud wielkopolski z postępem czasu, oświaty i przez naśladowanie obcych przykładów przekształca coraz bardziej swe serce prostacze, rozjaśnia umysł bystrzejszym dowcipem, rozumem i pojęciem, przemienia zewnętrzną barwę dawnego stroju i kroju; ale pod względem obyczajów i zwyczajów małozienny, sięga pamięcią w odległe wieki pradziadów, przechowuje dotąd i trzyma się tradycyjnych obrzędów, jakie się w różnych porach roku przytrafiać zwykły.

Do najwięcej zajmujących zwyczajów tego ludu należą obchody świąt wielkanocnych, które co powiat, co okolica różnią się nieco od siebie. Po mniejszych parafiach przywożą wieśniacy ogromne kosze wypakowane chlebem, plackami, jajami, kiełbasami i t. d. przed kościół, które po rezurekcyi, zwykle rano obchodzonej, poświęca ksiądz pleban, a organista, korzystając z tej gratki, wybiera ze wszystkich koszów w rząd ustawionych jako haracz po jednym jajku dla siebie. Ledwie ksiądz wymówi ostatnie słowa: *benedico et aspergo*, kropiąc z kolei ustawione kosze, już chwackie parobczaki unoszą takowe do wozów i pędzą na wyścigi do domów swoich, w tym przekonaniu, że kto pierwszy stanie we wsi i w domu, najpierwszy ukończy żniwa i zasiewy.

W pierwsze święto wielkanocne zbierają się po południu parobczaki i sprawiają dyngus dziewczętom we wsi. Zwyczaj ten obchodzony podobno bywa na pamiątkę pierwszego chrztu Polski. Niejedna dziewczyna, złana od stóp do głowy, lub skąpana w stawie, przy studni, wśród silnego nieraz mrozu, przypłaciła to zdrowiem i życiem. Ale zwyczaj ludu są święte i za konieczność często poczytywane. Same też zresztą dziewczęta są sobie winne, bo niezlane w wielkanoc, uważają się za wzgardzone, lub wysmiewają parobczaków, jakoby wody żalowali, której Pan Bóg dosyć stworzył, że im nóg nie umyli, że tańcować z niemi nie będą.

Żalowałaś kapki wody,
Precz odemnie, od urody!
Nie pohasam na dożynku
Z tobą niemrawo Jasinku.

W drugie święto rozpoczyna się kwesta wielkanocna. Zebrani parobczaki i chłopcy przebierają jednego z pośród siebie za niedźwiedzia, obwijając całego w grochowiny lub w przewrócone do góry wełną kożuchy, i uwiązane na łańcuchu oprowadzają z chaty do chaty, zmuszając go niebardzo lekkimi kijami do pokazywania różnych figlów i niezgrabnych skoków. Dwóch parobczaków niesie z sobą kosze do zbierania datków, składających się z jaj, placków, mięs, wędzonek, i t. d., a jeden dźwiga na ramieniu rożen, na który się wkładają kiełbasy i kiszki. Gdy cała czereda wejdzie do chaty, pochwaliwszy Pana Boga, zagrzmie pieśnią niedobranym głosem:

Przysłiśmy tu po dyngusie,
Zaspiewamy o Jezusie,
O Paniencie, świętym Piotrze,
O Judaszu i o Iotrze.
A gosposia skrzętna, szczerą,
Da nam wódki, chleba, séra,
Mając w domu z Bożej łaski,
Placki, jaja i kiełbaski,

Potem, wysuwając się po kolei przed gospodynię domu, kłaniają się czapkami do nóg i przymawiają dowcipnie o różne podarki.

W niejednym domu usłyszą przymówkę:

Tuście dziewcząt nie kąpieli,
Idźcie sobie teraz dalej.

Albo też dziewczęta, mszcząc się za wczorajszą kąpiel, zlewają wychodzących z chaty. Wszędzie jednak odbierają przynależne datki, bo lud wielkopolski zawsze hojny, szczerzy i gościnny. Po skończonym obchodzie po wsi, udają się wszyscy do jednej, corocznie z kolei wybieranej chaty lub do karczmy, i tam wśród tańców i śpiewów radosnych spożywają Boskie dary.

W Kaliskiem, podług nadesłanych nam świeżo przez jednego z łaskawych korespondentów wiadomości, nieco odmiennie obchodzą święta wielkanocne. Le-

pią z gliny lub wyrabiają z drzewa i pokrywają pierzem naturalnej wielkości koguta, zwanego *kurasem*, którego umieszczają na małym dwukolnym wózku. W drugie święto obwożą tego kurasa po wsi, a wokół niego, na pomalowanym łubiu z przetaka, umieszczone są zwykle figurki mistyczne, obracające się w różne strony za poruszeniem dyszelka. Zebrana parobczaków czereda, uzbrojona w ręczne sikawki, obchodzi chaty wiejskie. Dwóch chłopaków niesie kosze do zbierania datków, a skrzypek przygrywa pieśni śpiewanej chórem przed każdym domem. Przy tej sposobności odbywa się tak zwany mokry dyngus ze strony dziewcząt i parobczaków, którzy się wzajem, nie szcędząc wody, zlewają bez litości. Obszedłszy wszystkie chaty, udają się w końcu do dworu, gdzie obdarzeni datkiem pieniężnym i wódką, popisują się na dziedzińcu różnemi figlami.

Nadmienić wreszcie wypada, że i dziewczęta obchodzą chaty z przystrojoną choinką lub czubkiem świerka w różnobarwne wstęgi przybranym, zwanym zwykle *galkiem*, i stósownym śpiewem upraszają o datki. Dziewczęta te są to po większej części ubogie mieszczańki z miast okolicznych. F. S.

KOŚCIÓŁ LATYCZOWSKI.

Nad rzeką Wołką w gubernii podolskiej leży niewielka miejscina Latyczów, dawniej Leszczynem zwana. Z wyniosłego wzgórza za miastem odkrywa się oku uroczy widok na okolicę przystrojoną lasami, nastrojoną pagórkami, okraszona zielonemi łąkami, po których rzeka Wołka, wijąc się wężykiem, niedaleko Latyczowa łączy się z Bohem. W bliskości miasta czerni się w pośród topoli i świerków wieś Tarłów, dawna siedziba starożytniej rodziny tegoż imienia, a nieco dalej wystrzela ku niebu wspaniała kościół nowokonstantynowski; u spodu zaś wzgórza rozsiadane w dolinie miasteczko Latyczów, chlubi się okazałą świątynią, z cudownym obrazem Maryi Dziewicy.

Zjeżdżając z góry do przedmieścia Latyczówki, widzimy na ustroniu cerkiewkę, gdzie niegdyś miała stać chatka, w której ks. dominikanie, tak zwani *fratres peregrinantes*, przybywszy z Rzymu z obrazem N. P. Maryi, malowanym naksztalt cudownego obrazu *S. Mariae Majoris* w Rzymie, a darowanym sobie od papieża, nie będąc od starosty wyznania kalwińskiego do miasta wpuszczeni, złożyli tenże obraz, urządziwszy z chatki niewielką kaplicę. Jednej nocy spostrzegli mieszkańcy Latyczowa, że całe przedmieście ogniem płonęło, a przybiegłszy wrzasz starostą na ratunek, zdumieli się na widok cudownego światła opromieniającego chatę, w której spoczywał obraz Bogarodzicy. Cud ten takie sprawił na staroście wrażenie, iż wyrzekłszy się swych przekonań religijnych, wprowadził w tryumfie zakonników z cudownym obrazem do swojego zamku i tam urządził dla nich kaplicę.

Wspaniała zaś świątynia, jaką po dziś dzień widzimy, miała powstać w czasie wojny z Turkami. Pewien hetman polski, stanawszy obozem pod miastem Latyczowem, zasnął wraz z wojskiem snem głębokim, znużony trudami i marszem. We śnie ukazuje mu się po trzykroć Bogarodzica, przestrzegając hetmana o zbliżającym się nieprzyjacielu. Zbudzony wódz przekonywa się w rzeczy samej o grożącym niebezpieczeństwie, lecz pełen wiary ogłasza wojsku niebios przestrożę, uderza śmiało na pogan i pod opieką N. P. Maryi zwycięża nieprzyjaciół. Hetmanem tym miał być Rewera Potocki, który na podziękowanie Bogarodzicy za opiekę zbudował wraz z wojskiem kościół latyczowski.

Z tego podania ludu, przyćmionego powłoką czasu, wygląda prawda, którą wyjaśnić naszym jest celem. Nie ulega wątpliwości, że kościół latyczowski istniał już przed r. 1613, w którym Zygmunt III dyplomem wydanym w Warszawie zatwierdza dziesięcinę ze starostwa, przez fundatorów tegoż kościoła ks. dominikanom nadaną. W instrumencie zaś starościńskim z r. 1638 dnia 1 lutego Mikołaj Potocki, potwierdzając pobieraną z folwarku dziesięcinę, wyraźną czyni wzmiankę, że fundatorem kościoła latyczowskiego był stryj jego Jan Potocki, wojewoda braclawski, co i Okolski w dziele *Florida Russia* przyznaje, dodając: *licet alienus a fide romana esset* i naznaczając rok fundacyi kościoła 1606. Biskup zaś kamieniecki Hie-

ronim Sierakowski, w dekrete wizyt z r. 1741 mylnie uważa Mikołaja Potockiego, z przydomkiem Rewera za fundatora tegoż kościoła około r. 1600. Władysław IV, zatwierdzając instrument dziesięciny Mikołaja Potockiego dyplomem swym w Warszawie dnia 25 kwietnia 1637 wydanym, zgadza się i na fundatora Jana Potockiego. Dyplom ten w łacińskim języku, na pergaminie, z pieczęciami i podpisem króla oraz jego sekretarza Jana Gembickiego, znajduje się dotąd przy kościele latyczowskim. Jeden z niego ustęp wypisujemy tu w tłumaczeniu:

„Te rzeczypospolite za szczęśliwe uważamy, w których religia i cześć boska nadewszystko kwitną, a pobożność z każdym dniem wzrasta. Związkiem też prawdziwej wiary zjednoczone umysły ludzkie, w cnocie bardziej się kształcą, postępują i we wszystkich uczynkach i sprawach do celów sprawiedliwości, religii i publicznego dobra jednomyślnie zmierzają zwykły, przez co łatwiej spokojny i szczęśliwy stan rzeczypospolitej, (kiedy jest w całym rozkwicie prawdziwa wiara i sprawiedliwość) zachować mogą.“

Pokazuje się nawet z różnych dowodów jak i wizyt ksiąg kościelnych, że nie tylko Jan Potocki wojewoda braclawski, stryj Mikołaja i Stanisława Rewery, był fundatorem kościoła latyczowskiego przed r. 1613, ale najwięcej przyczyniła się do tej fundacyi jego żona z Kamienieckich, prawa katoliczka, a w znacznej także części ofiary pobożnych, zebrane przez ks. dominikanów, którzy po przybyciu do Latyczowa osiedli przy kościele parafialnym, istniejącym niegdyś na lewym brzegu rzeki Wołki, gdzie się wznosiło miasteczko Leszczyn. Dowodem tego akt graniczny kościelny z r. 1546, gdzie jest i wzmianka o plebanie Wilczku. Co się zaś tyczy Stanisława Rewery, jakoby ten, wedle podania ludu, miał być fundatorem dzisiejszego kościoła i klasztoru, łatwo się domyślic, iż wojując często w tych stronach i dając liczne na rzecz kościoła ofiary, zjednał sobie wielką sympatją u ludu i pozostał w ustach jego i w pamięci do dziś dnia, jako fundator świątyni latyczowskiej.

Kościół ten przetrwał do r. 1648, w którym wśród zaciętych walk z Chmielnickim zruinowany i w stajnię zamieniony został. Księża dominikanie unieśli obraz cudowny i złożyli go we Lwowie w kościele Bożego ciała, z kąd po 74 latach do wsi Kopaczówki, a 1 lipca 1722 tryumfalnie do Latyczowa wprowadzony i w kaplicy złożony został; w następnym zaś dniu odbył się obchód uroczysty powrotu cudownego obrazu, jako w dzień nawidzenia N. P. Maryi, uwieczniony corocznemi odpustami. W r. 1738 nastąpiło poświęcenie kościoła przez biskupa kamienieckiego Fr. A. Podbielskiego, a za staraniem Adama Krasieńskiego biskupa i Kaź. Wilanowskiego prowincyała obraz wraz z Dzieciątkiem Jezus w r. 1778 złotemi koronami przez Stan. Rajm. Jezierskiego biskupa bakońskiego został ukoronowany, które to korony w r. 1824 skradzione, w rok później srebrnemi pozłacanymi zastąpiono.

Kościół latyczowski, pod wezwaniem Wniebowzięcia N. P. Maryi, wzniesiono zapewne z byłego zamku, o czym świadczą dwie strzelnice wewnątrz stojące. Facyata kościelna w kształcie ostrosłupa odznacza się pięknym stylem gotyckim, gzymsowatemi pilastrami, wieżyczkami i ozdobnym malowidłem u szczytu. Po obu stronach świątyni stoją dwie kaplice z kopułami baniastemi, oświeconemi podłużnemi oknami, z jednej zaś strony przypiéra do niej gmach klasztorny. W kościele znajduje się pełno pamiątek, drogocennych sprzętów i obrazów mniej więcej artystycznie wykonanych. Księża obowiązani są co środę śpiewać wotywę za dusze fundatorów, a za spokój wieczny Władysława IV i jego żony Cecylii odbywa się co miesiąc msza czytana.

Oprócz muzyki, utrzymywanej z zapisu prowincyała ks. Wilanowskiego, znajduje się na drodze wiodącej do kościoła wzniesiona przez tegoż zacnego kapłana wspaniała kolumna murowana, blachą kryta, z krzyżem na wierzchu i statua wewnątrz, wyobrażającą Niepokalane Poczęcie N. P. Maryi, na pamiątkę pierwszej koronacyi obrazu. Przed frontonem kościoła jest obszerny cmentarz murem opasany, w środku którego stoi słup z figurą drewnianą Pana Jezusa, a po prawej stronie kapliczka ze statua kamienną św. Jana Nepomucena. Brama wjazdowa na cmentarz przedstawia kształt kaplicy, nad której sklepieniem wznosi się dzwonnica.

Kiedy w r. 1831 klasztor przeszedł pod władzę

księży świeckich i zamienił się w kościół parafialny, pobożni i troskliwi o chwałę Bożą i przybytek święty kapłani nie szczędzili trudów i starań, aby świątynię upiększyć, odnowić, i dawne jej pamiątki zachować. Takim był ks. Brzozowski, assessor i kanonik kapituły kamienieckiej, który w r. 1844 sprowadził malarza Paszkowskiego, aby popoprawiał freski po ścianach i sklepieniu, przedstawiające tajemnice różańcowe i podania o założeniu tego kościoła; takim jest i obecny kapłan i kanonik ks. Zgierski, który w r. 1852 zabrał się do odnowienia kościoła wewnątrz i pokrycia gontami klasztoru i bazyli ośmiokątnej. Ledwie tę pracę ukończył, dnia 2 kwietnia 1854 r. w sam wielki piątek powstaje straszliwy pożar w mieście, wpada na klasztor, przenika do wnętrza kościoła i zapala organy. Przy dzielnym jednak ratunku i za łaską nieba kościół ocalono. Niezłamany tém nieszczęściem czcigodny kapłan na drugi dzień o północy na tlejących jeszcze zgliszczach odśpiewał „resurrexit” i w ciągu roku wszystko zmartwywało: kościół i klasztor pokrył się blachą, a pobożne zakonnice z Kamieńca obdarowały świątynię latyczowską pięknym organem.

Odtąd, wspierany przez zacnych obywateli i składką parafian, rozpoczął odnawianie całego kościoła. Oprócz tego powiększył cmentarz za miastem, obmurował go i zasadził drzewami, a w r. 1857 nową dobudował kapliczkę. On pierwszy także, za pośrednictwem znanego wydawcy Albumu wileńskiego, rozpowszechnił wizerunek N. P. M. latyczowskiej w prześlicznych większych i mniejszych litografiach paryskich, z różnymi ozdobami.

Arcybiskup metropolita mohylewski uznając zasługi i troskliwość o dobro parafii proboszcza, wyniósł go na stopień kanonika.

Oby przykład tego czcigodnego kapłana licznych znalazł naśladowców, a niejedna nasza świątynia, za łaską nieba i wsparciem pobożnych, wzniosłaby się wspanialej.

Bolesław z Ukrainy.

PAŁACYK PO FIRLEJACH W BRONOWICACH.

Bronowice, jest to porządna i dość zamożna wioska w prywatnym posiadaniu będąca, która przeciw-

ległe Nowej Aleksandryi (Puławom) położenie, po lewej stronie Wisły zajmuje. Piękny i obszerny ogród otacza mieszkanie dziedzica. Na pałacyk w drzeworycie tu przedstawiony wiele pokoleń się składało, lecz najważniejsze pamiątki zostawili po sobie Firleje. Szczęśliwym trafem, chwila mojej bytności w Bro-

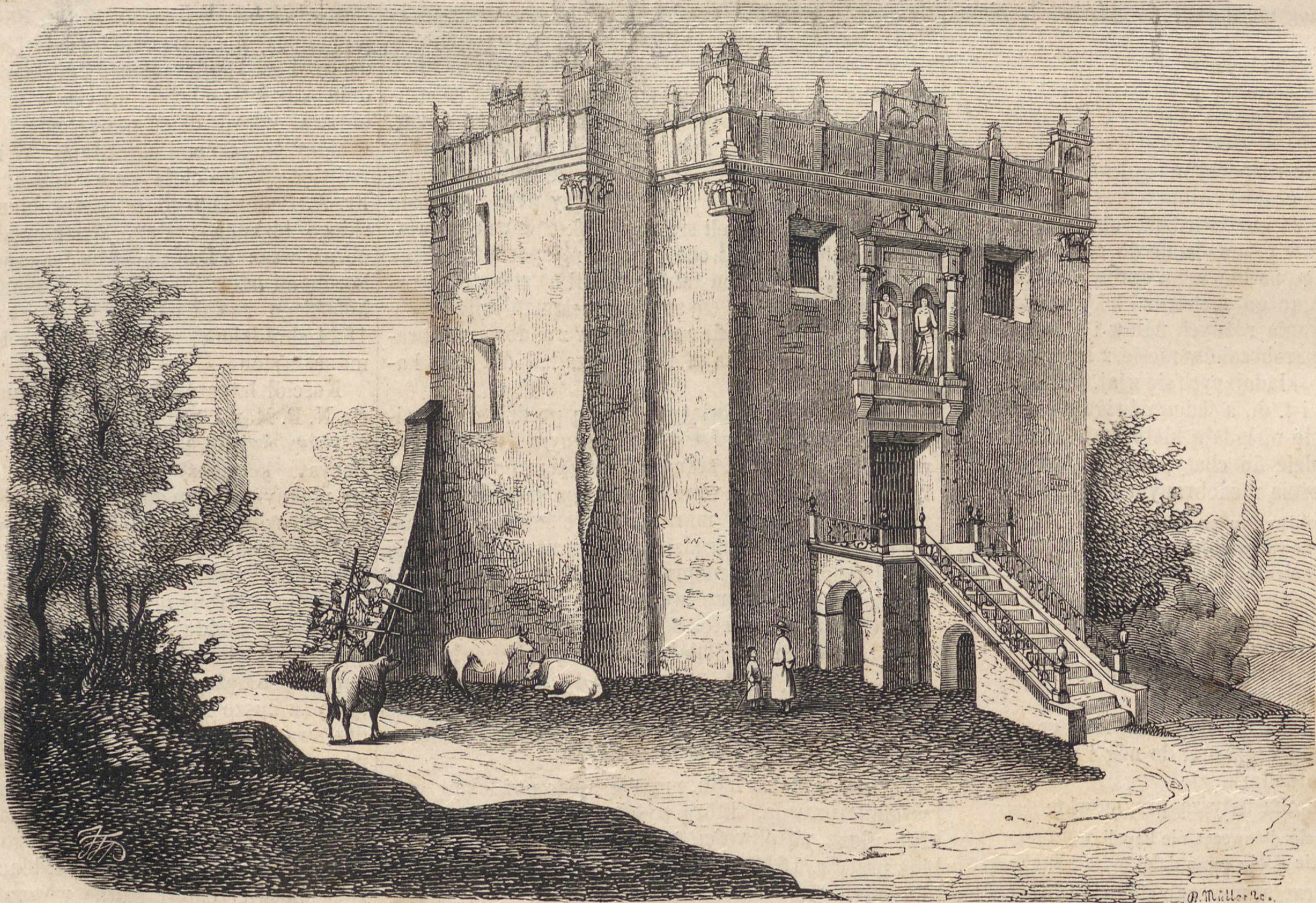
podania, miejsce gdzie dziś pałac stoi, było przedtęm lasem ogromnym; że w tym lesie, dla spoczynku myśliwych po polowaniu, Firlej tę wieżę wystawił; że w niej przyjmował nawet króla; że dobra tego pana były bardzo wielkie; a wreszcie że tutaj niejednemu już pokazywały się strachy pilnujące skarbów zachowanych w głębokich piwnicach.

Z wielką ciekawością oglądałem bardzo już porysowane ściany, a wszedłszy wewnątrz na pierwsze piętro, po prawej stronie od wejścia, w rogu obszernej o czterech oknach sali, pod odłupaniem kilkakrotnem bielaniem, dostrzegłem napis bardzo niewyraźny, którego już dokładnie odczytać niepodobna było. Że jednak daje dość ciekawą wiadomość o Firlejach, przytaczam go tu w kopii:

Osztażian Stolnik Crakowski żył na szwieczie za Króla Władysława Łokietka w roku 1330, jako przywileje sztare o przeniesieniu dobru jego zprawa Niemieckiego na prawo Polskie szeroko y mianowicie szwiadczą. Tego Osztażiana ociecz..... oznoszczi człowiek w..... Fraihrow przodków swoich urodzony będący y starożytną familią swoję we F.... niczy od dawnych czasow..... prowadzi.... uszły-

nowicach wypadła właśnie wtedy, gdy przystawki drewniane, stanowiące pokoje mieszkalne, poprzyczepiane bez ładu do głównego budynku, zwalono, tak iż pozostała tylko część najdawniejsza, którą tamtejsi

szawszy otem że Władysław Król do Rzymu.... wielką..... Królowi..... zaiechał tamże Króla ochotnie prz.....awszy o to uszilnie proszicz aby do zamku jego między inszemi majątnoszcziami na drodze krolewskiej nayblisszy był..... według upodobania szie..... szobie zabawił czo Król iak szpra....z.... p.....szkiego.... iadacz barzo rad uczinił a gdy szie Osztażianow ociecz oto sztarał aby Król dosztatecznego wczasu na wszystkim zazywał y aby wszystkim u dworowi krolewskiemu na zadney rzeczy nie szchodzilo, widząc Król te jego ludzkoszczy y wrodzoną dobroczkorey nie mógł inaczej oddacz prosił go barzo.... Osztażiana.... szobą do Polski poszłał czo aczkolwiek z..... ..szie uczinicz ale go potem za wielką proszba krolewską po-



PAŁACYK PO FIRLEJACH W BRONOWICACH.

Rysował Polkowski, rytował Müller w drzeworytni Tygodnika.

mieszkańcy wieżę Firlejowską nazywają. O ile z dołączonego rysunku można mieć wyobrażenie, do wieży ona wielkiego podobieństwa niema, jakkolwiek na dwa piętra jest wyniesioną.

Po bliższym rozpatrywaniu się i dopytywaniu, tyle tylko od starych ludzi dowiedziałem się, że według

zwoił a i Osztażian z familiey szwoiey sztarodawney Fraiherem to jeszt wolnym panem był czego i terasz w czesarstwie zwyczajesz. Szkoro potem przyjechał sztolnikiem krakowskim... czo szie rozumie po niemiecku firleger polszczy tedi ludzie nie mogącz obudwu.... dobrze wymowicz Firleiem go zwacz poczeli.... szynow.

Zresztą wewnątrz téj budowli, oprócz kominka staroświeckiego z herbem i sztukaterią taką samą jak nad napisem, nic więcej nie znalazłem godniejszego uwagi.

Pałacyk ten, o podstawie kwadratowej, stoi na obszernych i głębokich piwnicach sklepionych, do których wejście było w wystającej części budowli, stanowiącej jakby korytarzyk. Na parterze były dwa niskie lamusy, sklepione sposobem beczkowym. Do sklepień, równie jak i do całej budowli, użyto kamienia wapiennego i opoczystego, a w niektórych miejscach kamień ten jest czystą krédą; gźemsy tylko i ozdoby dach zasłaniające wysadzone są z cegły modelowanej, a kapitele narożne wyrobione całkowicie z zaprawy wapiennej, z wielką starannością. Po jedenastu schodach wychodziło się na pierwsze piętro, a nad głównymi wchodowymi drzwiami, w pięknie ozdobionych wnękach (niszach), były umieszczone dwie postacie kamienne stojących, całkowicie uzbrojonych rycerzy. We fryzie belkowania nad niemi znajdującego się, wryty był wkleśło napis: *Cznotą i naukami familie sztoją.* Z całej roboty rzeźbiarskiej widać że artysta nie silił się na drobnostkowe wykończenie, rozumiał jednak dobrze kontur ogólny, więc téż całość w pewnej odległości bardzo powabnie się przedstawia.

Dziś na miejscu gdzie wznosiła się ta wieża Firlejowska, stoi dom mieszkalny nowy; musiano ją bowiem zwalić, jako grożącą niebezpieczeństwem. — Dwóch tylko rycerzy wyżej wspomnianych i herb wyjęty z nad kominika sali, wmurowano w jednej ze ścian szczytowych. Podczas rozbioru nie znaleziono żadnego piśmiennego śladu, któryby epokę założenia téj budowli wskazywał; lecz parę pieniążków z czasów Zygmunta Starego napotkanych w fugach cegieł, jak niemniej pisownia i język użyty w napisach świadczą, że dalej jak do początku XVI wieku odnosić jej nie można, chociaż styl architektury naiwny, oryginalny, a pełen przytém poważnej prostoty, dawniejszą jej datę znacząca.

W. T.

WRÓŻKA.

Obraz Loefflera.

Miło nam jest załączyć czytelnikom naszym rysunek z obrazu mało u nas znanego artysty, p. L. Loefflera z Galicyi, który, jakkolwiek kształcił się w Wiedniu u znakomitego malarza rodzajowego Waldmüllera, jednakże przyjął, tylko od mistrza ogólne zasady sztuki, nie tracąc samodzielności, nacechowanej pewną dążnością narodową. Ulubionymi przedmiotami obrazów jego są ciche uczucia rodzinne, ze wszystkimi odcieniami wrażeń, otoczonych takim urokiem dla każdego serca szlachetnego.

Nie mając przed oczyma obrazu, któryby nam całkowicie wartość swoją odsłonił, powiemy tu tylko słów kilka o wraźniu, jakie na nas czyni jego kompozycja i rysunek, w odosobnieniu od kolorytu, tak przeważnie wpływającego na życie figur.

Artysta w tym utworze okazał wielką przenikliwość subtelnych przejawów serca ludzkiego i niepospolity dar obserwacji wszystkich przemiennych odcieniów fizyognomii. Pomimo to jednak, obraz ten nie może się nazwać obyczajowym, bo treść jego w taki sposób pojęta, nie nosi na sobie piętna narodowego obyczaju. Pomysł uderza ogólną prawdą psychologiczną, ale nie ma naszego tchnienia rodzinnego, i staje się przez to tylko rodzajowym obrazem w barwie, nie zaś w duchu narodowym. Przedmiot ten, tak często obrabiany przez malarzy różnych narodów, a szczególnie

przez Flamandów, mógł być wprawdzie i w naszym obyczaju zastosowanym, ale w inny zupełnie sposób. Takie spotkanie u wróżki zdarzało się u nas po upadku kontusza i kubraczka, ale przedtém nigdy; cyganika przechodząca wróżyła dziewczicom z owego czasu, ale tylko pod strzechą rodzinną. P. Loeffler niezbyt dawno zaprzestał malować sceny z życia wieśniaków niemieckich; ztąd brak mu jeszcze wtajemniczenia się w życie i dawne obyczaje nasze. Spodziewać się jednak należy, że czas i zamiłowanie, przy niepospolitych zdolnościach, wyrobiją w nim trafniejszy wybór przedmiotu i bardziej swojskie jego pojęcie.

Po téj uwadze, śmiało rzec możemy, że pomysł ten jako temat rodzajowego obrazu, wybornie jest skreślony: swoboda, naturalność, równowaga linii prawdziwie artystycznie zachowana, łączy te trzy postacie wspólną nicią akcji, która nadaje całej scenie jasność uderzającą w pierwszój chwili. Charakterystyka téj sceny pół milczącej, przemawia do nas mimiką prawdziwie plastyczną.

tyście szło tylko zapewne o wdzięk rodzajowego obrazu.

Zalety tego utworu, polegające przeważnie na charakterystyce, nadają mu to życie, które nas we wszystkiém pociąga, nie mówiąc już o poprawności rysunku, wybornych akcesoryach, oraz harmonijnym światłocieniu, otaczającym całą tę wyrazistą kompozycją niepospolitym efektem.

KRONIKA SZTUK PIĘKNYCH.

MALARSTWO.

Jakkolwiek świat dzisiejszy więcej się interesuje procentami od kapitałów, chociażby na księżycu lokowanych, i wszelkiemi wrażeniami z krainy Plutusa, aniżeli wzniosłymi wdziękami cór Apollina, wierni naszemu powołaniu, podnosimy głos wołającego na puszczy do czytelników naszych, w celu podzielenia się z nimi wrażeniami z wystawy krajowej, która żyje, jak wiele myśli i uczuć, pomimo że się mało kto o nie troszczy. Zanim jednak opiszemy nowości które przybyły do tego skromnego przybytku sztuki naszej, nie możemy oprzeć się chęci powtórzenia wam rozmowy małego amatora obrazów z ojcem, który go tu z sobą dla rozrywki przyprowadził.

Żwawy chłopczyk, przebiegły po sali, nagle stanął przed jednym z obrazów i wołać zaczął:

— Papo, papo! czemu papa tych koni nie kupił, zamiast tamtych gniadych?

— Bo ja żywych potrzebo- wałem, nie zaś malowanych.

— Aha, ale papa tamtych musi dużo owsa kupować.

— Cicho bądź, trzeba być grzecznym.

— Ale papa kupi dla mnie tego białego konia?

— Nie można teraz, kupię ci jak będziesz starszy.

— Jak będę starszy?... papa mi pewno nie kupi, odrzekł posmutniały chłopczyk.

— Dlaczego? owszém kupię.

— A przecież papa starszy, a nie kupił go dla siebie.

Jeżeli ten chłopczyk stosunkowo z wiekiem rozwijać będzie swe umysłowe pojęcia, należy się spodziewać że ludzkość powita w nim znakomitego człowieka. Niestety, w dzisiejszych czasach najczęściej w dzieciństwie miewamy rozum, a w dojrzałości pozostaje nam często tylko wielce wygodny rozsądek.

Powodowani gustem tego roztropnego chłopczyka, powiemy wam, że ów koń biały dźwiga na sobie Stanisława Potockiego (Rewerę), który po trudach wojennych, w gronie towarzyszy broni powraca do Lwowa, żeby tam spokojnie doma wypocząć.

Lecz zadumał się stary wojownik, gdy zbliżył się doń chłopiec i podał żelazną buławę, którą przed chwilą wyorał z ziemi mówiąc: „Może się przyda jegomości.“ I przydała się, bo gdy powrócił do Lwowa, przysłany od króla Jana Kaźmirza Lanckoroński, wręczył mu buławę po Kalinowskim.

Ten ustęp z Niesieckiego p. Sypniewski wziął sobie za przedmiot do obrazu, i dość szczęśliwie się z niego wywiązał. Postać hetmana zamyślona, wiele ma szlachetności, wyraz dzielny, staropolski, poważny. O charakterze chłopka nie można tego powiedzieć, ruch jego bowiem nie dość jasno się tłumaczy; stoi on nazbyt przed końmi na drodze, ztąd nienaturalnym wydaje się gest jego w podaniu buławy. Układ całości, chociaż niezupełnie zadowolający, ma jednak wiele prostoty i przyjemnie wpada w oko. Koloryt figur



WRÓŻKA

Rysował Polkowski, rytowano w drzeworytni Tygodnika.

Wróżka przenikliwe spojrzenie rzuca na dziewczę, i mimo jej wiedzy czyta z oblicza tajemne życzenia serca; jedną zaś ręką na kartę, drugą znacząco na młodzieńca stojącego przy krześle wskazując, tajemniczym głosem zda się wymawiać pomyslną dla niego wróżbę. Młodzieniec z uśmiechem pokręcając wężą, spogląda ukradkiem na dziewczę, która napróżno usiłuje pokryć wrażenie, jakie w niej wywołał dosłyszany prognostyk.

Figury wróżki i młodzieńca w wyrazie i mimice są doskonale, jakby na uczynku schwycone. Niepodobna dokładniej i zręczniejszemu w zewnętrznych znakach okazać prawdy; w postaci dziewczycy tylko niema może zupełnej jedności zewnętrznego wyrazu, z wewnętrzną prawdą moralną jej charakteru. Pragnęlibyśmy w niej widzieć więcej prostoty i naiwności, a mniej elegancji i téj zalotności, jaka się przebija w ruchu ręki, którą znacząco bawi się sznurkiem perełek, okalającym drugą jej rękę; co jednak zkądinąd jest usprawiedliwione, bo, jakeśmy poprzednio nadmienili, ar-

i wykończenie staranne, w tle zaś i pierwszym planie większa moc i czystość wcaleby nie zepsuły harmonii, którą ten obraz szczególnie się zaleca.

Pan Gierdziejewski nadesłał z Rzymu dwie fotografie z obrazów fantastycznej treści. Jedna z nich przedstawia widzenie św. Pawła pustelnika na ruinach pałacu cesarów; druga zwycięstwo chrystianizmu. Są to pomysły z natury swój tak wielkie, że tylko geniusze pierwszorzędne marzyć mogą o ich urzeczywistnieniu plastycznym. Jakkolwiek trudno obwiniać artystę, że gorąca żądza się w nim budzi do wcielenia takich kolosalnych idei, jednakże ostrzedz go wolno, iż czynić to powinien najpierw w skrytości ducha, dla wyprobowania sił własnych, dla przeświadczenia się o małości swojej w obec szczytnego zadania sztuki. Wtedy bez wątplenia podniesie w sobie siłę artyzmu i przekona się ażali mu danym jest spełnić to w pewnej chwili. Że p. Gierdziejewski sięga wzrokiem na wyżyny gdzie przebywa geniusz Buonarrotich, Korneliusów, Kaulbachów i t. p., któż mu to może mieć za złe? byleby tylko pamiętał, że myśli tych olbrzymów podobne są do raf podwodnych, o które rozbijają się wątle łodzie niedoświadczonych jeszcze w sztuce żeglarzy.

Nie możemy szczegółowo oceniać tych kompozycji, mając przed oczyma zmniejszone fotograficzne i do tego niezbyt udatne ich odbicia; powiemy tylko że wiele znajduje się tu figur niezwykłego wyrazu, ale nie dosyć poprawnie narysowanych, jak np. figura św. Pawła, której ruch i gest żadnej wydatnej myśli nie odsłaniają. Co się tyczy drugiej kompozycji, o wiele bogatszej w ugrupowaniu figur, uderza nas w niej brak jasności w głównej myśli, którą artysta przedstawił w dwóch grupach odmiennego wyrazu, walczących z sobą ponad ruiną olbrzymiego Kolizeum, pośród którego samotnie stoi krzyż, będący godłem chrześcijaństwa.

Obie strony walczące uderzają na siebie z mieczami, ale gdyby nam historia pierwszych lat czwartego stulecia (306 p. n. Ch.) nie ogłosiła ostatniego rozstrzygnięcia tej walki za panowania Konstantina W., z obrazu p. Gierdziejewskiego nie dowiedzielibyśmy się o tém dzisiaj, a jednak prawda duchowa zadaniem jest sztuki. W tych dwóch grupach widzimy różnicę tylko zmysłową, to jest z jednej strony muskularne, dzikie potęgi starego świata, z drugiej lżejsze, chociaż nie nazbyt idealne postacie nowej idei. Co mają znaczyć miecze z obu stron wzniesione? nie wiemy.

Sprzeczność ta tak osłabia cel który artysta sobie zamierzył, że mimowolnie, patrząc na tę scenę, jesteśmy świadkami tryumfu pogaństwa, tak te postacie chrześcijańskiego świata są blade, bez siły i wyrazu, a niedużo pociski ich mieczów, ironią idei której są wyobraźnielami.

Z tego wszystkiego wypływa, że gdy artysta nie zawładnie formą do tego stopnia, żeby ona pomieścić w sobie mogła myśl którą wyrazić pragnął, osłabi ją tylko i zmniejszy, nie zaś wzmocnić i spotęgować zdoła. Pomysły tak wykonane, chlubne miejsce znajdują w szkicowej tece artysty, żeby zaś na obrazy zamienione być mogły, potrzeba im ścisłego zjednoczenia treści z formą, które zdolnym jest dopiero utworzyć dzieło sztuki.

Portrety p. Kamińskiego w ostatnich czasach wykonane odznaczają się wielką prawdą karnacyi, która nieomal u każdej osoby jest inną, chociaż często niewiele się różni dla oka zwyczajnego spostrzegacza. P. Kamiński maluje biegle i dokładnie, ale często zdarza mu się przesadzać w kombinacji półtonów, tak dalece, że głowy jego niektórych portretów zdają się być jakby w chwilowym zapłonienu. W naturze stan taki jest przemijającym, ale portret skazany na ciągłe palanie gorączkowe, jest grzechem zapewne nie przędziw osobie której rysy przedstawia, ale przeciw zasadom piękności i prawdy artystycznej.

Portret damy w podeszłym wieku tegoż artysty, chociaż nie tak poprawnie rysowany jak inne, ma jednak tę prawdziwą siłę kolorytu, bez wyszukania, która nas usposabia do zapomnienia o malowaniu, dając natomiast osobę, z właściwym jej ciałem i wyrazem.

Portret malowany przez p. Zarzeckiego zupełnie innej jest natury jak poprzednie, bo stanowi zarazem rodzaj kompozycji, w której osoba portretowana przybrana jest w fantazyjny strój marynarza. Przyznać musimy że układ tego portretu wiele ma naturalności, draperye swobodnie fałdowane, a tło i akces-

sorya utrzymane w harmonii z figurą sprawiają niepospolity efekt w całości.

Widok zamku rabsztyńskiego p. Schouppé przedstawia jedną z tych chwil posepnych, półświatlanych, które w klimacie naszym często się przytrafiają nawet wśród lata, i różnaitością chmur ruchomych dają nam uczucie tego tajemnego prądu życia, które ani na chwilę nie ustaje w odwiecznych prawach natury i społeczności. Nie wiemy czy tu przecucie artysty działało, czy wiedza, ale chwilowy ten wyraz natury, rzut światła, tak poetycznie jednoczy się ze starym świadkiem ludzkich pragnień i zawodów, tak usposabia do uroczystej zadumy nad otaczającym nas światem i życiem, że z tego obrazu, rzecz można, wieje prawdziwe tchnienie natury, które uspakaja i uczy. Wykonanie pewnych szczegółów pierwszego planu nie wszystkim się podoba, bo też każdy artysta inaczej je widzi i przedstawia; ale gdy pojmie, odda nam to co stanowi wewnętrzną istotę sztuki, dokonał celu, bo wywołał w duszy naszej wrażenie rzeczywistego piękna.

P. Brzozowskiego krajobraz z okolic Biniszewa, świadczy o wielkim postępie artysty. Pracowita staranność, poszukiwanie w najmniejszych szczegółach form niepospolitych, gromadzenie w całość pojedynczych piękności natury, są główną cechą obecnego kierunku p. Brzozowskiego. Nie jest to jeszcze dostateczny środek do zrozumienia piękności natury w jej całkowitej pełni, ale ten pochop do bliższego jej badania, ta sumiennosc wykonania, przy dzisiejszej ogólnej nieoględności w kształceniu się młodych artystów, chlubnie za nim przemawia.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Mamy obowiązek czytelnikom Tygodnika ilustrowanego donosić w pewnych terminach o postępie nauk historycznych w kraju ojczystym. Mamy im donosić o dziełach które wychodzą, o treści i wartości nowych badań, o świeżych odkryciach literackich, których tyle się dzisiaj mnoży na polu historii, o faktach, o ludziach... Uboga niwa naszego piśmiennictwa nie obfituje w dzieła tak bardzo ważne, w monografie porządnie opracowane, europejskiej wartości, dlatego i Europa mało bardzo wie o przeszłości naszej. A przeszłość właśnie krajową, dzieje polskie głównie w artykułach naszych mieć będziemy na względzie, bo cała nasza literatura historyczna, jaka jest, wyłącznie się zajmuje tym przedmiotem, badaniem żywota wielkich przodków. Nie doszliśmy jeszcze do takiego bogactwa wiedzy o sobie, żebyśmy zając się mogli badaniami przeszłości obcej, żeby badania te nas interesowały. Jednakże nie odrzekamy się wspomnieć coś i o dziełach poświęconych dziejom powszechnym, jeżeli się ich co znajdzie. Jeżeli tedy trafi się nam książka, która przy umiejętnym obrobieniu, przyniesie nowe widoki i poglądy na ołtarz nauki ojczyźnej, z radością pochwycim fakt ten i szcycić się nim będziemy, jako najdroższym owocem, jako skarbem literatury. Ale ponieważ książki te wszędzie są rzadkie, a u nas rzadsze jeszcze, będziemy głównie rozpowiadali o tém, czego pełno w bieżącej literaturze, to jest o materiałach historycznych. Z liczby tych materiałów odkrywanych i rozpowszechnianych drukiem wnosić będziemy, czy zblizła się, czy oddala epoka, w której sumienne a umiejętne studia nad historią będą u nas możebne.

Przedewszystkiem nastęrcza się tu uwaga, że jesteśmy w epoce rzeczywiście wielkich przygotowań naukowych. Rzecz to niezawodna, że dopiero pokolenie nasze nauczyło się chodzić około nauki. Mieliśmy i sławnych kronikarzy, i znakomych historyków, to prawda, ale kronikarze zawsze to kronikarze, zawsze dają materiał nieobrobiony, niekrytyczny, błędny; historycy zaś nasi najlepiej o własnych czasach pisali, zasługa ich więc pamiętnikowa. Tak Długosz w początkach dzieła swojego jest kronikarzem i częstokroć zawodne stanowi źródło; dopiero pod koniec staje się historykiem narodu prawdziwym i dobrze opisuje czasy na które patrzył. Kromer nie ma nawet tej zasługi, skracał i przerabiał kroniki, czasem ich błędy poprawiał, jedním słowem wygotował tylko poprawniejsze nieco wydanie Długosza. A to są dwie największe znakomitości nasze, które całe

dzieje narodu w książce swojej objęli. Większa nierównie wartość naukowa jest takich Orzelskich, Kochowskich, nawet Pasków i Otwinowskich, chociaż osobliwie tylko dwaj pierwsi pojmwali nieco szerzej naukę, zapatrywali się na wzory. Pasek, Jemiołowski, Jerlicz, Chrapowicki, Otwinowski piszą albo zupełne pamiętniki, albo relacye, dyaryusze bez pretensyi, nie wiedząc nawet o tém, że z bogacają naukę. Krytyki u nas w ogóle mało, a krytyka właśnie stanowi kość pacierzową nauki. Jeszcze w XVII wieku, kiedy Bużeński pisał swoje żywoty prymasów, łąał Damałowicza za to, że wierzył dyplomatom i zmieniał podług nich porządek następowania arcybiskupów; dla niego słowa Długosza były święte, a Długosz twierdził inaczej jak dyplomata. Czegóż więc potrzebą? Książk Krajewski, autor panowania Jana Kaźmirza i żywota Czarnieckiego, nie wierzył listom oryginalnym historycznych osób, bo to były świstki i niczem nie przeważały u niego powagi Rudawskich i Grądzkich. Dar wysoki krytyki, w połączeniu z darem poetyckim, stanowią dopiero majestat historyka. Ten historyk, kto światłem krytyki objaśni sobie tak dobrze czasy dawne, że odrzuci uprzedzenia i błędy kronik, a z samych prawdziwych brylancików ułoży obraz świetny, zajmujący, poetyczny przeszłości.

Otóż u nas krytyki nie było długo, Niemcy tylko nasi: Hartknoch, Lauterbach, Oloff, a najwięcej Lengnich i t. p. krytycznie naszą badali przeszłość i zrobili wiele. Ależ Niemcy polscy, to jeszcze nie Polacy. U nas krytyka historyczna pokazuje słabe ruchy dopiero w połowie XVIII wieku, skutkiem przesilenia się literackiego, występuje w epoce Konarskiego w Załuskim, Niesieckim. Za Stanisława Augusta Łojko staje się biegłym krytykiem, Naruszewicz jeszcze bieglejzym. Czacki po Naruszewiczu pielęgnuje berło krytyki, ale dopiero Lelewel stanowi szkołę. Dotąd krytyki naukowej prawie u nas nie było, a jeżeli zjawiała się kiedykolwiek, było to dzieło przypadku; od tego zaś czasu płynie już ciągle, swobodnie i wspólnie. Przedtém wierzoło książkom, temu co wydrukowane. Historycy nasi byli po większej części dyletantami, zwłaszcza w ostatniej epoce księstwa warszawskiego i królestwa. Dzisiaj poznajemy się dopiero na wartości materiałów i wielką ich liczbę wydajemy. Póki nie przeberze się tych materiałów w zabytkach dotąd nie wydanych, historii mieć nie będziemy; bo trzeba albo wielkiego zuchwałstwa, albo zaślepienia dziecinnego, żeby się porwać na odtworzenie przeszłości, które jutro, za odkryciem tego lub owego pomnika, będzie stare i najlżejszej nie wytrzyma krytyki. Dotąd nie umiemy podnosić śmiało sądu o naszych ludziach historycznych, nie możemy ocenić wypadku, pobudek tej lub owiej konfederacyi, przyczyn tej lub owiej konstytucyi, ale jest nadzieja.

Otóż powiadamy, że jesteśmy w epoce wielkiej wewnętrznej na niwie historii pracy. Grunt mało jeszcze uprawiony na posiew, ale pierwszy raz od lat wielu uprawia się z większą znajomością rzeczy, z większym poznaniem potrzeb naukowych.

I rzeczywiście trudno zaprzeczyć, że to co mówimy jest prawdą, a nie urojeniem. Naród który miał i jaką taką wagę w Europie, nie miał tego w nauce co ma dzisiaj.

Wydawnictwo materiałów rozpoczął u nas na szerszą skalę Raczyński, gromadząc zabytki przeszłości. Prace jego ciągnie dalej w sposób arcyślachetny, prawdziwy mecenas, Tytus Działyński. Żadnych kodeksów dyplomatycznych nie widziała literatura nasza od czasów Dogiela. Raczyński wydał wielkopolski i litewski, Ryszczewski zaś w Warszawie położył podstawę prawie peryodycznemu a wielkiemu wydawnictwu narodowemu tych znakomych zabytków historii. Dyplomatów wiele już dawniej wydano; Bielowski w Galicyi tynieckie ma drukować przywileje; donoszą nam z Rzymu, że tam się gotuje „Polonia sacra,” to jest zbiór nowy dyplomatów dla historii kościelnej narodu z archiwów watykańskich; w Rzymie wyszedł także niedawno obszerny tom materiałów do historii kościelnej. Po wszystkich stronach dawniej Polski poszukują się i zbierają dyplomata, a przynajmniej wiadomości o nich, lecz wiele jeszcze do roboty pozostaje. Dlatego też, żeby ułatwić pracę, Ryszczewski ułożył „Poloniam diplomaticam,” to jest spis wydanych już dyplomatów, porozrzuconych po różnych pismach.

Zacny obywatel Sidorowicz daje w Wilnie nakład na podobny spis dyplomatów litewskich, ułożony

przez Daniłowicza. Mosbach niedawno wydał inny spis rzeczy odnoszących się do historii naszej, z archiwów wrocławskich. Po bibliotekach Anglii i Francji ziomkowie poszukują świadectw historycznych. Tomicia, których wydanie przedsięwziął Działyński, są także swojego rodzaju dyplomatury, pomyslanym na skalę jak można tylko najrozleglejszą; bo tutaj wchodzi już nie same przywileje, ale i uniwersały królewskie, uchwały sejmików i listy osób historycznych. Materiałów podobnych naszym Tomicianom nie ma żadna historia europejska; zacytowanie któremu na myśl przyszło zbierać te skarby historii, gdyby nic innego nie zrobił, tą jedną pracą zasłużył już sobie na nieśmiertelność wśród narodu. Wydanie dyplomatury zrodziło inną myśl. Bielowski i w ogóle literaci lwowscy poszli za danym już wzorem przez Pertza i postanowili wydać krytycznie zbiór naszych kronik dawnych i obcych o tyle, o ile dotyczą przeszłości naszej. Tak powstał piękny pomysł do wydania dzieła „Historica Poloniae monumenta vetustissima.“ Dzieło drukuje się, ale bardzo powoli, co nie dziwnego, bo materiał musi być porządnie opracowany i funduszu wielkiego potrzeba, ale kiedy też wyjdzie całe dzieło, będziemy się mieli czym pochwalić przed Europą. Słyszymy że w Kijowie osobno wyszła kronika Nestora w przekładzie polskim, z tekstem oryginalnym i z przypisami wydawcy, który miał wielkie światło rzucić na przedmiot zawsze ciemny, bo jesteśmy dopiero u brzegu badań podniesionych dla rozjaśnienia pierwotnej naszej historii, równie jak i w ogóle wszech plemion słowiańskich.

Pracujemy także około narodowego prawa. Nowe wydanie Voluminów legum, pięknie i dostęпно u powszechni znajomość prawa. Dzisiaj biblioteki i rzadko kto z prywatnych miał pod ręką Volumina, rzadziej kto jeszcze miał ich komplet, a prócz tego co się w nich mieściło, było wiele praw, które się tam nie dostały: albo opuszczali je wydawcy przez niezajomość rzeczy, albo same prawa były późniejsze od Voluminów. Arcyszlachetną i piękną jest tedy myśl Ohryzki, że postanowił wydać zbiór praw naszych kompletny, o ile to być może, a w każdym razie zbiór jego będzie zupełniejszy od najzupełniejszych dotychczasowych. Myśl ta jest bardzo na czasie, zdaje się nam że miał ją przed laty Romuald Hube, który wychodził jedynie z stanowiska praktyczności i sądził, że Volumina legum, niby wstępne tomy dzisiejszego dziennika praw, który jest w istocie dalszym ciągiem, znajdować się powinny w każdej jurydyce sądowej, tym bardziej że i dzisiaj nieraz jeszcze zdarza się, iż sądy muszą rozstrzygać spory według zasad dawnego prawa polskiego. Krytyczne wydanie najdawniejszych zabytków naszego prawodawstwa, sporządził niedawno Helcel; praca to w istocie pomnikowa, lubo krytyka nie wszędzie się zgodziła na uczone wywody Helcela względem prawodawstwa wiślickiego. Helcel zbierał też wywody najdawniejsze polskie, którą to pracę mniej krytycznie podjął i Hube w Petersburgu, mniej krytycznie, powiadamy, dla błędnego rękopismu. Helcel miał dokładniejszy w Wrocławiu. Niedawno także podjął się Helcel pracy około wydania sławnego rękopismu praw miejskich Macieja Ślewnickiego. Wreszcie wspomnieć trzeba i o historii prawodawstwa słowiańskich Maciejowskiego. Dzieło olbrzymie, 6-tomowe, prawo nasze rozwija w związku z innymi prawodawstwami pobratymców; wskazuje nam rozwój zasad naszych narodowych z gminy powstałych, obok instytucji czysto germańskich.

Ogromnej także wagi jest dla nas wydanie jakie przedsięwziął w Poznaniu Żupański, pod tytułem *Polski średnich wieków*.

Niema dzisiaj nawet przedmiotu, któregoby praca sumienna nie tknęła. Historia kościoła, historia pojedynczych konfederacji i ruchów narodowych, instytucje, wszystko to arcysurowej krytyce podlega. Na historię nie zrywamy się jeszcze, bo zawczasu, świadczą o tym dzieje Moraczewskiego, tak samo jak filozofia dziejów naszych, np: Słowo do dziejów polskich Koronowicza, piękne myślenie która je natchnęła, piękniejsze jeszcze miłością, która w niemu tknie, ale za pobieżne, bo zawczesne. Nie rzucać się nam do takich poglądów wielkich, olbrzymich, na całość dziejów oczyszczonych. Otóż mamy liczne wydania żywotów prymasów i biskupów, z nich najważniejszy *Katalog* księdza Łętowskiego, praca pomnikowa, a potem dzieło Bużeńskie, które drukowało się w Wilnie i w tych

dniach ukończone zostało. Tenże ksiądz Łętowski gotuje śliczne dzieło o katedrze krakowskiej. Ogrom opisów kościołów mnoży się co chwila, skład główny prac tych jest dotąd w naszym Pamiętniku religijno-moralnym, ale Józef Łukaszewicz rozpoczął w osobnym dziele spisywać historię kościołów li tylko w dycezyi poznańskiej. Łukaszewicz skreślił także historię wszystkich prawie sekt w Polsce, które powstały z łona kościoła katolickiego, i dzieje szkół w Koronie i Litwie. Nie ustaje na tej drodze i ciągle na nią zbiera wawrzyny, nagrodę długoletnich zasług w nauce. Czegośmy nie mieli za dawnych czasów, mamy dzisiaj: galerię królów, prymasów, mieć będziemy galerię hetmanów, królowych. Gdy Raczyński rozpoczął wydawnictwo medalów polskich, w Warszawie pomysł jego dalej prowadzi Karol Beyer. Mnoży się wiele w różnych stronach kraju życia, tłum znakomitości narodowych.

Odkryto za naszej pamięci dalszy ciąg kroniki Bielskiego i historię Wapowskiego, której dokończenia doczekać się tak długo nie możemy z Wilna. Wolff w Petersburgu postanowił wydać szereg *Dziejopisów krajowych* w tłumaczeniu polskim, a kilkanaście tomów drukiem już ogłosił, większych i mniejszych rzeczy. Jedną z najważniejszych tu przysług jego, będzie wydanie pamiętników Orzelskiego. Dzieło to również jest odkryciem prawie, bo dotąd przez trzy wieki ukrywało się w rękopiśmie.

Same nawet fakta innej natury obracają się na korzyść nauki naszej. Biblioteka polska, wychodząca niegdyś w Sanoku, a potem w Przemyślu, miała być kiedyś przedsięwzięciem czysto literackim, szczęśliwym zdarzeniem w Krakowie przerodziła się zupełnie, i nie tracąc wiele ze swojego charakteru literackiego, dla historii przynosi ogromne skarby, bo daje przedruki rzeczy pierwszego znaczenia dla nauki. Pisma Wereszczyńskiego, Głos wolny króla Leszczyńskiego, Skrupuł bez skrupułu, Herby Paprockiego, są takimi przedrukami, że rozplwać się trzeba z radości. Same nawet kazania Skargi i Birkowskiego, same nawet kompletne wydania dzieł Kochowskiego i Grochowskiego, przydać się wiele mogą pracom historycznym, są historią. Dla Biblioteki polskiej nie mieliśmy dosyć słów uwielbienia, ile tylko razy pisać nam o niej albo mówić przyszło; tutaj więc powtarzamy tylko starą piosnkę, nic więcej. Akiedy mówimy o cechach ogólnych nowej epoki naszej literatury historycznej, z chlubą tutaj notujemy wyznanie, że Biblioteka ma za sobą najpiękniejsze prawo do wdzięczności dzisiaj pracujących naukowych ludzi.

Wśród takiego ożywienia się naszej gałęzi literatury, więcej jak kiedy indziej ubolewać nam przychodzi nad tym, że zakład Muzeum Świdzińskich chybił swojego celu. Mieliśmy tam zapewnione prawie wydawnictwo Pomników historii krajowej, i wydawnictwo nieszczupłe; dzisiaj ono zależy od dowolności, a i to co nam dają, jest mało w stosunku tego, co być powinno.

Julian Bartoszewicz.

KORRESPONDENCYA

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Kraków, 3 kwietnia 1860 r.

Jeżeli liczba dzienników i pism peryodycznych jest skalą do poznania stopnia rozwinięcia literatury, w takim razie piśmiennictwo znacznie u nas ostatnimi czasy podniosło się i najpiękniejszą rokuje przyszłość. Od Nowego roku przybyły nam aż trzy nowe pisma: w Krakowie jedno, we Lwowie dwa. We Lwowie zaczęły wychodzić od 1 marca *Kółko rodzinne* pod redakcją pp. Zacharjasiewicza i Szedlera i *Czytelnia dla młodzieży* pod redakcją p. Cieszewskiego. O obydwóch pismach dziś już chcieć wydać sąd stanowczy byłoby zawczasem; zgadzam się jednak ze zdaniem tych, którzy nie wchodząc w rozbiór jakości pisma, powstanie *Kółka* w ogóle uważają za niepotrzebne. I rzeczywiście obok Dziennika literackiego istnienie drugiego jeszcze czasopisma literackiego we Lwowie wydaje się zbyt zbytecznym. Dziennik literacki, wychodzący już od lat kilku, zjednał sobie w kraju wziętość, a myśl kierująca tym wydawnictwem jest tak czysto rodzinna, a zarazem z taką wytrwałością i stanowczością w każdym niemal słowie przeprowadzoną, iż pod tym względem nic zgoda do życzenia

nie pozostaje. Dłaczegóż literaci lwowscy, zamiast się kupić koło tego ogniska, by zespolonymi siłami tym większy narodowi przynieść pożytek, zakładają nowe? Tendencje *Kółka* nie mogą być lepsze od tendencji Dziennika literackiego, gdyby zaś były mniej narodowe, pismo to zostałoby przez opinię niechętnie potępionem. Więc pocóż rozdrabniać siły? Dla dwóch pism literackich wątpię aby w naszej prowincji dosyć znalazło się prenumeratorów, a tak nowo powstające pismo może i drugiemu zaszkodzić, i sobie świętego losu nie zapewnić.

U nas w Krakowie wydaje od Nowego roku pan Walery Wielogłowski pismo tygodniowe pod tytułem *Ognisko*, poświęcone interesom rolnictwa, przemysłu, handlu, sztuk i rzemiosł. Równocześnie pan Wielogłowski założył tu dom komissowy i biuro zleceń, oraz powszechną agencję. Redakcja ogniska rozwija wiele zabiegłości, a lubo dotąd żaden z artykułów w tym piśmie umieszczonych nie stał się głośnym, można się wszakże spodziewać, iż z czasem przy zręcznym prowadzeniu stanie się ono prawdziwym organem przemysłowo-handlowym naszej prowincji, na którym dotąd całkiem jej zbywało. W dodatku tygodniowym drukuje *Ognisko* *Podróż do wysp w kanale La Manche*, odbyta i opisaną przez Korzelińskiego Seweryna, autora *Podróży do Australii*.

W tutejszym życiu towarzyskim czuć się dawał do niedawna wielki brak wszelkiej spójności, wszelkiego zespolenia pojedynczych części w większą całość. Od kilkunastu lat zwyczajem przyjętym w Krakowie było prowadzenie życia ile możności odosobnionego, udzielając się jak najmniej na zewnątrz. Okoliczności, niezależne od dawnych mieszkańców Krakowa, aż nadto tłumaczą to usposobienie, sprawiające atoli skutki wcale niepomyślne. Otóż ze względu na rozliczne zło, które z takiego rozerwanego życia towarzyskiego wynika, cieszy mnie, iż mogę donieść wam o usiłowaniach, mających na celu zbliżenie do siebie ludzi, co żyją częstokroć od wielu lat w tym samym mieście, ocierają się o siebie nieomal codziennie, a mimo to wszystko nie znają się wcale. To mówiąc mam na myśli wieczorne zebrania mekie, powstające coraz częściej w różnych warstwach społecznych. Początek w tej mierze zrobił jeszcze w jesieni jeden z obywateli, otwierając u siebie wieczory piątkowe; od pewnego zaś czasu powstały wieczory literackie.

Na zakończenie mojej dzisiejszej korespondencji podaję krótki wyciąg z ogłoszonego niedawno urzędowego obliczenia ludności Galicyi. To aczkolwiek suche zestawienie liczb będzie może pożądanem dla tych, którzy pragną obeznać się ze statystyką tego kraju. W obwodzie rządu krajowego krakowskiego znajduje się 40 miast, 20 przedmieść, 71 miasteczek, 2,621 wsi, 261,215 domów mieszkalnych. Ludność miejscowa wynosi w ogóle 1,604,159 dusz. Między temi jest 1,423,402 wyznania rzymsko-katolickiego, 64,488 wyznania grecko-unickiego, 7,253 wyznania lutersko-ewangelickiego, 798 wyznania kalwińsko-ewangelickiego i 108,154 żydów. W obwodzie rządu krajowego lwowskiego leży 45 miast, 93 przedmieść, 163 miasteczek, 3,650 wsi i 496,966 domów mieszkalnych. Ludność miejscowa w ogóle wynosi 3,027,707 dusz, którą na obrządku religijne podzieliwszy, przypada na wyznanie rzymsko-katolickie 659,966, na wyznanie grecko-unickie 2,012,624, na obrządek ormiański 2,307, na wyznanie lutersko-ewangelickie 19,709, na wyznanie kalwińsko-ewangelickie 3,342 dusz; liczba żydów wynosi 340,819. Miasto Kraków, według tegoż obrachowania urzędowego posiada 41,086 miesz. Z tej liczby jednak tylko 34,210 dusz ma stanowić ludność miejscową stałą, a 7,904 jest obcych. Z całej tej ludności jest 20,909 wyznania rzymsko-katolickiego, 44 wyznania grecko-unickiego, 244 wyznania ewangelicko-luterskiego, 33 wyznania kalwińskiego a 12,937 żydów. Sądząc po ruchu w mieście, powyżej wykazana urzędownie liczba mieszkańców zdaje się za nisko oznaczoną. Zresztą nie obejmuje ten wykaz Podgórze, na prawym brzegu Wisły położonego i stanowiącego za czasów wolnego miasta osobne miasto, dzisiaj atoli najściślej z Krakowem połączonego, tak iż Podgórze można śmiało uważać za część integralną naszego grodu. Liczy ono obecnie z pewnością do 5000 mieszkańców.

HISTORIA JEDYNACZKI W 22 OBRAZKACH.

Ułożył i rysował F. Kostrzewski, rytowano w drzeworytni Tygodnika.

(Dalszy ciąg.)



Nr. 14.

Pan Raut, bogaty bankier, przywraca jej zdrowie, ofiarowaniem przepyszego stroju brylantowego, wraz z swoją ręką.



Nr. 15.

Małżonkowie przepędzają miodowy miesiąc na wsi.



Nr. 16.

Po kilku latach bezdzietnego pożycia, pani bankierowa poświęca się z nudów literaturze i zaczyna emancypować się.



Nr. 17.

Mąż sobie, żona sobie.



(Doi ożczenie nast.)

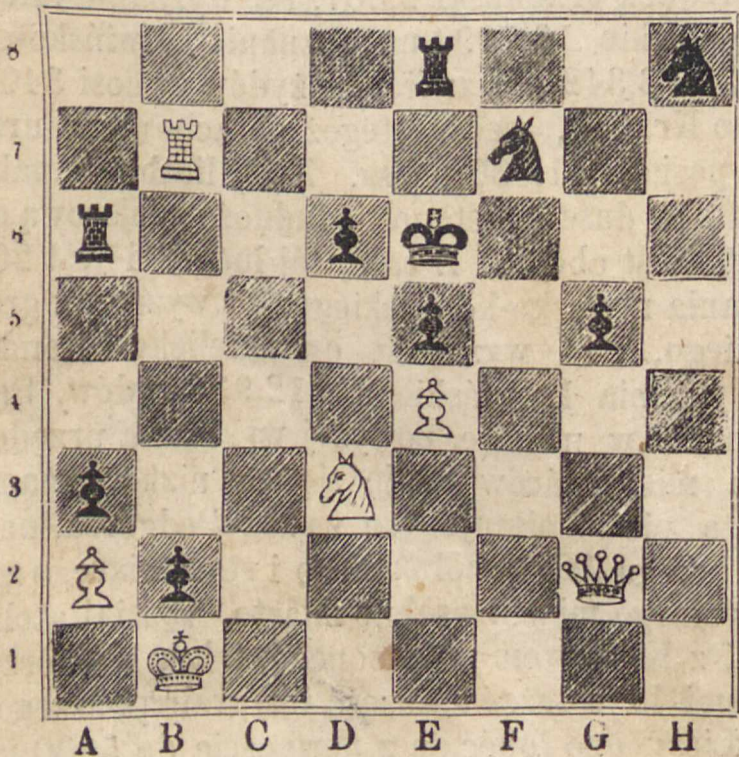
SZACHY.

ZADANIE XXII

(D. N w Częstochowie).

Białe zaczynają i dają mat za trzecim posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr 21.

W zadaniu tém przypuszcza się że czarne w poprzednim posunięciu pojechały pieszkami z E 7 na E 5, a więc minęły pieszka białego D 5.

Białe.

Czarne.

- | | |
|-----------------------|---------------------|
| 1) D 5 — E 6 bierze † | 1) F 7 — F 6 |
| 2) F 2 — G 4 † | 2) F 5 — G 4 bierze |
| 4) F 3 — E 4 † i mat. | |

Szarada ukryta w szachownicy w Nrze 28 Tygodnika jest następująca:

Ani wspank trzecie wprost drugie
 Żadna księga nie wspomniała,
 Choć to zadanie niedługie,
 Czy téż trzecia pierwsza miała
 Wspak trzeciego wprost pierwszego,
 Wśród jestestw mnóstwa wielkiego;
 Bo że wszystek (ptak nie lada),
 Był tam, wątpić nie wypada.

(Znaczenie jój: Ka-zu-ar).

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 28.

Serce to nie chłopiec, trudno mu rozkazywać.